

LITERATURA NASZA I OBCA

POEZJE, POWIEŚCI, NOWELE I OPOWIADANIA.

MARJA RODZIEWICZOWNA.

11)

Czarny chleb.

Zaniepokoił się możliwością przybycia drugiego człowieka, jakby już sam był dzi- kim, i począł się baczniej wpatrywać.

Ale blask był na toni i mamił wzrok, więc wszedł do izby — jakby się chciał ukryć. A wtem rozległy się głosy, okrzyki — i na progu stanął młody człowiek, w eleganckim jasnym ubraniu i nie widząc nic z blasku zawołał:

— Stefanie.

I nagle go poznał w tym chłopie odzia- nym w płótno, i wybuchnął wielkim śmie- chem.

— Maskarada. Powinieneś na cel do- broczynny za pieniądze się w tym stroju pokazywać.

— Skądęś się tu wziął? Seweryn żyje?

— Żyje i żyć będzie. Większy powstał popłoch o ciebie. Matka od zmysłów od- chodzi. Cała policja w ruchu. Tom spisać legend i pogłosek — nie czytałeś gazet?

— Tutaj!

— Ach prawda! Ale skąd się ty tu wzięłaś?

— Chłop ci nic nie opowiadał?

— Nie. Zabrać mnie nie chciał — za- groziłem policją — wtedy się zgodził — ale gęby nie rozwarł przez całą drogę. Nie uwierzysz co za odsapnięcie z naprężenia sprawił doktor, jak twoją depeszę matce przyniósł. Sprowadziła mnie — i wysłała w pogoń.

Ledwie odszukał tę dziurę — ale ja- keś ty ją wynalazł!

— Wcale nie szukałem. Wsiadłem do pociągu kupiłem jakiś bilet na chybił tra- fił. Jechałem — aż zrozumiałem — że ży- ciał mordercy nie zniosę. Wsiadłem na ja- kiejś stacji, poszedłem plantem — chciałem

się rzucić pod pociąg — ale trafiłem na rze- kę — i skoczyłem z kolejowego mostu.

— Warjat!

— Ten chłop mnie wyciągnął i odrato- wał.

— Ładna heca. Kiedyż to było.

— Nie wiem. Zdaje mi się, że od tej pory przeżył całe lata. Ale, proszę cię — nie mówiłeś chłopu mego nazwiska?

— Nie. Spytałem o pana co depeszę wy- słał — czy zdrów. Odpowiedział, że zdrów bo chleb je — i śpi. Takem twej matce depeszował.

— Zachowajże i nadal moje incognito.

— Jakże — ty tu myślisz długo poku- tować.

— W każdym razie, tu przenocujemy.

— Jak na polowaniach wiosennych na głuszce.

Pamiętasz, byliśmy kiedyś, gdzieś w two- ich jakichś majątkach — bodaj w tych stro- nach. Będzie temu lat ze siedm. Szkoda że od sztucera nie wziął — aż się tu roi od ptactwa na tej dzikiej rzece. Szkoda też, że od przywiózł ci garnitur bardziej eu- ropejskiego — no i lokaja. Ale myślę, że matka to wszystko wysła, gotowa nawet i sama przyjechać. No — a cóż się tu jada?

— Czarny chleb. No — i jakbym prze- czuwał gościa — ułowiłem, kąpiąc się — tro- chę raków.

— Symonie! zawołał głośniej.

Chłop się ukazał w progu, z ręczną tor- bą nowoprzybyłego — i wiązką ryb — na łozinie.

— Jeść się panom chce. Będzie dobra gościna. Zaraz rybę oprawię na juszkę. A tu co w wiedrze?

— Raki.

— Oho, to pan już i za gospodarke się wziął.

— Słuchajno, z tym panem ty jakoś rozmówniejszy niż ze mną! zaśmiał się przy- bysz.

(d. c. n.)

BOHATER.

POWIEŚĆ.

Wacław jednak, za nic nie chciał słyszeć o opuszczeniu wojska, i choć gorączka wzmagala się coraz bardziej, z uporem powtarzał, że musi powierzona sobie kompanję oddać w ręce Wodzowi. Właśnie czekano na księcia, który, prowadząc prawe skrzydło cofającej się armji, miał teraz uformować szyki polskie i niezależnie od reszty wojsk przeprowadzić do Warszawy.

Wypadło więc p. Krystynie pozostać w obozie, bo jakkolwiek śnieg przestawał padać i noc stawała się mniej ponura, owszem księżyc przeświecać zaczął przez przerzedzone chmury, postanowiła czekać na wodza, ażeby jej pozwolił zabrać brata.

Oficerowie zapewniali jej nocleg najwspanialszy — Zajmie waćpanna kwaterę z sierżantem naszego pułku, proponuje jakiś oficer, salutując.

Panna Krystyna zwróciła na mówiącego zdumione oczy.

— Sierżant jest kobietą, rzecze ciszej, uśmiechając się znacząco, oficer, — to moja najszanowniejsza małżonka.

— Porucznik Maciej Żubr, z 17 pułku piechoty — zakończył, przedstawiając się.

— Tu zdumienie dziewczyny nie miało już granic.

— Żona? — wymówiła wahajaco.

W tej chwili porucznik, jakgdyby dla zadokumentowania prawdy słów swoich, przyłożył dłonie do ust i odwracając się w stronę drugiego żołnierskiego ogniska, huknął z całej siły:

— Hej, sierżant!

Niebawem z za pni dębowych wychyłała postać żołnierza, w mundurowej furaczerce na głowie, ale zresztą ubrana dość fantastycznie. Sierżant miał na sobie krótki, żółty, chłopski kożuszek i skórzane spodnie łośiowe, może spadek po jakim jenerale nieprzyjacielskim. I buty też ogromne kawalergardów sięgały mu wysoko poza kolana. Stanął wyciągnięty, salutując.

— Sierżancie, gdzie masz kwaterę? — spytał oficer.

— W stajni, na wyżkach, panie poruczniku.

— Doskonale. Zabierzesz ze sobą tę pannę, która zablądziła do naszego obozu i musi tu z nami przenocować.

— Wasza mość, czy mogę mówić?

— Mów.

— Tam w dachu dziury — jeszcze mi tam ta panna przez noc zamarnie.

Panna Krystyna zaprotestowała energicznie —

— Wszakże, jeżeli waćpani...

— Mów mi, waćpanna, sierżancie, przewrał ten dziwny żołnierz.

— Jestem zahartowana panie sierżancie, rzekła zmieszana.

— A zatem...

— Wedle rozkazu, zakończył sierżant i, skręciwszy lewo w tył, pociągnął za sobą gościa.

— Od ogniska jednak oficerowie zapraszali na rosół, przygotowany przez kirasjera. Zapewniali przytem o nadzwyczajnej jego smakowitości głośno, z humorem, przesadzając się w conceptach, co świadczyło, że mimo wszystko wielu z tych ludzi żelaznych, hartownych nie opuszczała tężyzna w chwilach nawet najfatalniejszych. Nie wszystkich ogarniała apatja i beznadziejne zwątpienie. Spełnili swój obowiązek z honorem i z dumą patrzeć mogą na swoje czyny.

Wszyscy okryci chwałą nieśmiertelną lekko sobie ważą śmiertelnych szczątków swoich potyranie.

— Przy kotle gwarno, huczno i niemal wesolo.

— Krystyna nie umiała by jednak dostroić się do tego tonu. Czuje potrzebę skupienia się. Narzeczony zaledwie zdążył się z nią przywitać, trzymając straż tej nocy w obozie, już odwołany był do służby gdzieś w dalszej stronie lasu. Brat zaparł się w swym bólu i słowa zeń dobyć nie można było. Po spożyciu kilku łyżek zupy, przeszedł do chaty leśnika, gdzie mu wraz z kilkunastu innymi oficerami przygotowano legowisko.

Dała się uprowadzić sierżantowi. Pani Żubrowa wiodła ją wzdłuż opłotków do starej napół rozwalonej stajni, przepelnionej teraz żołnierzami, którzy, wyszukując resztek słomy i siana, układali się do snu jak można najwygodniej. I tu humor nie opuszczał wiarusów. Słyszała grube concepty żołnierskie, wywołujące rumieniec na jej lica, słyszała niewymyślne przedrwyiny i uwagi do-

sadne, prostaków, którzy zwykli nazywać rzeczy najdrażliwsze bez ogródek.

— Niektórzy z wiarusów, okutawszy się dobrze w płaszcze, walili się wprost w śnieg pod ścianą, która im dawała ochronę przed wiatrem. Właśnie ułan jakiś ogromny, chudy ale barczysty niezwykle, siedząc pod ścianą, owija sobie nogi płaszczem i zagrzebuje się pod śnieg. Uważa za stosowne objaśnić.

— Jak tak dobrze śnieżek suchy człowieka przykryje, to ciepło, jak u żony pod pierzyną, jeno to bida, że od tego ciepła to i robaczki, co je każdy z nas na sobie kupami nosi pożywienie z człowieka biorą, że żeby i najtwardszy sen miał, to się cuchrać musi bez ustanku.

Obok legowiska ułana tego stała drabina, prowadząca na stryszek.

— No, wiaź, waćpanna zakomenderował sierżant.

Za chwilę znalazły się na ciasnym poddaszu istotnie pełnym dziur wcale przestronnych. Przez wyrwy w poszyciu napadało sporo śniegu i przykryło resztki, przechowanego tam, siana. Z pod śniegu tego sierżant wygrzebał przygarść jedną i drugą i rozesał je w kątku bardziej zacisznym. Wsunęły się tam na czworakach.

— No, spać, komenderował znowu sierżant.

Pannie Krystynie jednak na sen się bynajmniej nie miało. Po tylu wstrząśnieniach pragnęła była podzielić się z kimś myślami swemi, chciała także jaknajprędzej dowiedzieć się o losie brata trzeciego, gdyż dotąd żaden z obecnych tam oficerów nie mógł nic o nim powiedzieć.

— W jakim pułku służył brat waćpanny?

— Nie wiem. Zaciągnął się, jako ochotnik, kiedy wojska nasze przez Wilno przechodziły, bez wiedzy matki. Wybiegł z domu ciotki, u której bawiliśmy wtedy. Wybiegł i już nie wrócił. Miał lat zaledwie szesnaście.

— Hm, mruknęła tamta, dużośmy takich dzieciuchów w tej wojnie widzieli. Marniało to aż żal było patrzeć.

— Ale waćpani o bracie moim, Janku Rytwianie nic nie słyszała?

— Rytwian jest porucznikiem naszego pułku w kompanji wyborczej.

— To także mój brat. Drugi mój brat, August zginął pod Smoleńskiem.

— Ba, wiedzą o tem w wojsku. Dobrze zginął.

— A, waćpani czy znała brata mego Augusta?

Nie było odpowiedzi. Sierżant Żubrowa chrapał już, jak zabity. Krystyna siedząc w kucki na sianie, wsłuchiwała się, w za-legającą obóz ciszę. Ukryła głowę w dłoniach i przed oczyma jej stanął obraz bitwy. Widziała brata, z podniesioną w rękę szpadą. Idą do ataku. On na koniu, strojny, świetny w błyszczącym mundurze, tak, jakim go widziała w Wilnie, kiedy za księciem Józefem wszedł do salonu kasztelanowej. Nagle gdzieś w przestrzeni wykwitają siwe dymki... świetny oficer pada z konia. Widziała to tak jasno, że jęk bolesny wyrwał się jej z piersi, jakgdyby była istotnie świadkiem tej śmierci. (d. c. n.)



Z CYKLU „KRYM”.

INKERMAN.

*Poblady już na szczytach południa postoty...
Góry białe, jak chaty mazowieckiej ściana...
Tunele chłoną pociąg paszczą lewjatana —
Coraz mrok nas ogarnia, jak duszę zgryzoty.*

*Inkerman... Iwowłose migają wykroty...
Czernieją pieczar wnęki — kedy, chwaląc Pana,
Brac zakonna się kryła — dziś puste... cygana
Lub pasterza schronisko w dzień słoty...*

*Mówią, że jako gwiazda, zagasta w zenicie,
Uwięziony duch mocarz wiódł tu smętne życie.
Wróg padółu — świątynie wykut z skały łona —*

*Sam zginął — jego dzieło w blask wznosi
ramiona —*

*Jako myśli wyżynnej strzała w świat rzucona,
Trwa — chociaż proch jej dawcy rozwiany
w wszechbycie...*

Stefanja Zajaszewiczowa.

STARE LWY.

POWIEŚĆ.

Jasieniec się ocknął wśród czterech ścian więzienia ogrodzienieckiego. Małe, okratowane okno wychodziło na dziedziniec niewielkiego jakiegoś zbrocza zamkowego, pod którego murem leżał zwał piasku i śnieżył się od blasków miesięcznych. Pozbawiony myśli, woli i uczucia patrzył na ten załom murów, na to osypisko, na które się pokładły białe promienie księżyca. Nagle raz i drugi zadzwoniły głucho dachy zamkowe i coś runęło na ten wał piaszczysty.

Jasieniec czoło do zimnych przyłożył krat —

Postać ludzka, piękna, młodzieńcza postać leżała nieruchomie na zwale onym. Rozsypały się złote kędziory włosów; niby ramiona krzyża oparły się bezwładne ręce o głązy; z rozbitego straszliwie czoła płynęła struga krwi. Jasieniec zrazu nie poznał Przemka... Nagle drgnął, krzyknął i chwycił za żelazne pręty okna. Zgięły się linją falistą, ale głąz je zatrzymał; drugie, potężne szarpnięcie zwiększyło linję fali — lecz mur zwyciężył.

— A co cię rzuciło w tę otchłań?.. czy krzyk zbudzonego sumienia, czy mych podejrzeń, niesłusznych może słowa nieszczęsne? — Zbladłemi wyszeptał usty.

Nie dał odpowiedzi tym eichym pytaniom swej duszy — szmer jakiś, kroki czyjeś, idące szybko, szybko, przerwały wylek jego myśli. Z za ścian załomu wysunęła się postać wojewody, wiatr lekki poruszał włos jego siwy, falowała szata rozwiana. Za Włodkiem szedł ksiądz i Ryć i dwór cały.

Wojewoda runął na klęczki—ryk z piersi jego wypadł.

Ksiądz się pochylił — —

— Pomocy tu potrzeba, mości wojewodo, nie płaczu bezużytecznego — rzekł... Wstań, ochłoń z boleści!.. Niech go pan Szymon opatrzy... Rozbił się strasznie, lecz — może żyje!..

— Żyje? wyszeptał, dźwigając się pan Włodek — — Powtórz, że — żyje, a Bogu kościół postawię, temi starymi stopy pójdę do Ziemi Świętej — grzesznik, rab Boży!..

Ryć pochylił się nad leżącym — członki obmacał, przyłożył ucho do piersi i dosłuchiwał się tętna serca.

— Gra?.. gra?.. pytał wojewoda — —

— Cicho — konajaco... ale bije!..

Płachtą zmoczoną w wodzie źródlanej, obwiązano rozbitą głowę. Przemko poruszył się, z ust wypłynął szept ledwie dosłyszany:

— Nie ja zdradziłem... nie — ja!..

Otworzył oczy —

— Ojcie przebaczył!..

I w światy nieznane uleciał duch bezgrzeszny.

Są cierpienia tak wielkie, że człowiek w głąz się zmienia, znika uczucie, nerwy tępieją, zimny tylko pozostaje rozum i świadomość kłęski, lecz bez poczucia tej kłęski. W takim stanie obojętności znalazła się dusza pana Włodka. Dwa katafalki kazał ustawić: jeden w sypialni pani Dominiki, gdzie spoczęła na wonnym puchu kwiatów jaśminowych, sama, jak ten kwiat, biała, jak anioł umarły — piękna; drugi, ze zwłokami Przemka, w sklepionej izbie zamku, gdzie lubiał przesiadywać z odwiedzającym go księdzem, gdzie poraz pierwszy wyciągnął rękę, sygnetem ozdobioną, na którym spoczął pocałunek hardego pacholecia. Dziwili się wszyscy marmurowemu spokojowi pana, który wszędzie był sam i sam wszystkie rozkazy wydawał. Gdy na kwiatkach spoczęła pani Dominika a na lwiej skórze zwłok syna — wojewoda pochylił się i ucałował czoło zimne. Łza nie omgłiła oczu, z piersi nie wypadł jęk. Zbliżył się do stołu — usiadł — pióro w inkaust umoczył i zwracając się do zajmującego przy nim miejsce księdza plebana, rzekł głosem spokojnym:

— Teraz pomożesz mi, dobrodzieju, przypomnieć osoby różne, które na pogrzeb małżonki mojej i syna, poprosić wypada.

(d. e. n.)





MIGUEL DE CERVANTES SAavedra.

8)

Zazdrosny Estremadureczyk.

(Z hiszpańskiego przełożył Zdzisław M.)

Z nie tłumaczonych dotychczas utworów Cervantesa.

(Wszelkie prawa przedruku niniejszego przekładu — zastrzeżone)

Tymczasem zrzuciły niebiosa, że mimo działania maści, Carrizales obudził się a nie znajdując swej ukochanej małżonki, zalekniony i zdumiony skoczył na podłogę rażniej, niżliby się tego spodziewać było można po jego latach sędziwych. A kiedy nie znalazł swej małżonki w komnacie i ujrzał, że drzwi otwarte były i przekonał się, że klucz zniknął z pod materaca, zdało mu się, że zmysły postrada. Opamiętawszy się jednak nieco, wyszedł na kurytarz i postępując krok za krokiem, aby nie być słyszany, doszedł do sali, gdzie spała ochmistrzyni, a widząc ją, że jest sama i że niema przy niej Leonory, skierował się ku komnacie ochmistrzyni i otworzywszy drzwi bez szelestu, ujrzał to, czego wolałby zapewne nigdy nie oglądać: ujrzał rzecz taką, że raczej byłby wolał oczu być pozbawionym, aby nie patrzeć, ujrzał Leonorę spoczywającą obok Loaysy, a obojga śpiących snem tak głębokim, że zdawać się mogło, iż zamiast zazdrosnego starca, oni teraz działaniu maści podlegali.

Na ten widok Carrizales stanął jak wryty; krew zastygła mu w żyłach, głos zamarł w krtań, bezwładnie opadły mu ręce; rzekłbyś, że w posąg zimnego marmuru się zamienił. A chociaż gniew spełnił swe zwykłe dzieło, powołując do życia zamierające już zmysły, ból tak był potężny, że w nieszczęsnym starcu dech zapierał. I mimo wszystko, byłby wywarł na winowajcach zemstę, jakiej wymagała tak wielka obelga, gdyby broń jakąś miał pod ręką.

Postanowił tedy pójść po pugnał do swej komnaty i powrócić tutaj, aby zmyć plamę hańbiącą ze swego honoru krwią nie tylko tych dwóch wrogów swoich, ale wszystkich nawet domowników. Taką szlachetną, a nieodzowną wymyśliwszy zemstę, na palcach i w milczeniu, skierował się z powrotem do swego pokoju, lecz

tu tak mu się serce ścisnęło od bólu i niepokoju, że na nic innego nie mogąc się zdobyć, padł zemdłony na łożo.

Zaświtał tymczasem dzień.

Zatrwożyła się Leonora, gdy ujrzała, że dzień już nastał biały i jęła narzekać na swoją opieszłość i niedbałość czartu zaprzędanej ochmistrzyni i obiedwie, pełne niepokoju, pospieszyły do pokoju gdzie pana domu zostawiły, prosząc półgębkiem Nieba, aby zastały go jeszcze chrapiącego. Leonora pierwsza podeszła do swego męża i ująwszy go za ramię, przewróciła z jednego boku na drugi, pragnąc przekonać się czy się obudzi bez użycia octu, którym umyć go miała według danej instrukcji, kiedy zajdzie potrzeba zmysły mu przywrócić. Lecz Carrizales nagle ocknął się ze swego omdlenia i głęboko westchnąwszy, zamierającym a pełnym jęku głosem, rzekł:

— Jakże nieszczęsny jestem i jakże straszne rzeczy los każe mi oglądać!

Nie zrozumiała dobrze Leonora słów swego małżonka, ale widząc, że odzyskał przytomność i przemówił, zadziwiona iż działanie maści nie trwało tak długo, jak jej to zapowiedziano, podeszła doń bliżej, twarz swoją do jego przytuliła i ściskając go czule, zapytała:

— Cóż ci to, panie mój, iż zda mi słyszeć skargę w twych słowach?

Poznał nieszczęsny starzec głos tej, która była jego bólu sprawczynią i szeroko rozwarłszy oczy, jakgdyby osłupiały i oczarowany, utkwił je w niej uporczywie; tak przez długą chwilę spoglądał na nią bez drgnienia, poczem ozwał się wreszcie:

— Uczyni mi łaskę, pani i zaraz, nie zwlekając ani chwili, każ wezwać tutaj w moim imieniu twych rodziców, gdyż czuję w sercu coś nieokreślonego, coś, co męczy mię niesłychanie i lękam się, że oto na jednym włosku wisi moje życie, a chciałbym zobaczyć się z nimi przed śmiercią.

Zapewne pomyślała Leonora, że prawdą było co jej mąż powiedział, wyobrażając sobie, że raczej zbyt silne działanie maści, a nie to, co ujrzał, w taki stan go wprowadziło. Odpowiedziała mu przeto, że spełni, co jej polecił i wydała rozkaz murzynowi, aby bez zwłoki udał się do jej rodziców i do domu ich sprowadził. To uczyniwszy, jęła męża swego ścisnąć i całować, czynić mu pieśczęty, jakich nigdy mu nie czyniła i dopytywać się, co mu dolega w słowach tak pełnych czułości i umiłowania, jakgdyby kochała go bardziej nad wszystko na świecie. On spoglądał na nią w osłupienia i każde jej słowo i każda pieśczęta były dlań jak ugodzenie włócznie tak wpijało się w jego duszę.

Już ochmistrzyni powiedziała była domownikom i Loaysie o chorobie swego pana, wyrażając przypuszczenie, że zaniemógł poważnie, bowiem zapomniał rozkazać, aby drzwi zamknięto, gdy wysłał murzyna po rodziców Leonory. Samo już to wezwanie nie miało wszystkich zadziwiło, gdyż ani ojciec ani matka Leonory od dnia jej ślubu nigdy do domu nie przychodzili.

Wszyscy chodzili po pokojach w milczeniu i zamyśleni, a nikt nie mógł wpaść na prawdziwą przyczynę cierpienia pana domu, który od czasu do czasu wzdychał tak głęboko i boleśnie, że zdawało się, iż każde westchnienie duszę wydziera mu z piersi. Leonora płakała, widząc go w takim stanie, a on śmiał się śmiechem człowieka, który zmysły postradał, ważąc w myśli jak kłamliwe były jej łzy.

W trakcie tego nadeszli rodzice Leonory, a zastawszy drzwi od ulicy i dziedzińca otwarte, a dom cały pogrążony w milczeniu i jakgdyby opustoszały, zdziwili się i zaniepokoiili. Udali się do komnaty swego zięcia i zastali go, jak wyżej powiedziano, z oczyma niezmiennie utkwionemi w oblicze swej żony, którą trzymał za ręce, a oboje wylewali łzy obfite; ona, myśląc o tem, że wkrótce na zawsze zamkna się jego oczy; on — że widział, jak kłamliwe były łzy, które ona przelewała. Ledwo Carrizales ujrzał wchodzących swych teściów, przemówił w te słowa:

— Usiądźcie tu Waszmość państwo i niechaj wszyscy inni opuszczą komnatę, a jedna tylko pani Marialonso niech tutaj pozostanie.

Uczynili wszyscy tak, jak Carrizales zażądał, a on, gdy sami pięcioro, pozostali w pokoju, nie czekając ażeby kto inny głos zabrał, począł mówić w ten sposób:

— Przekonany jestem najmocniej, ojcze mój i matko, że nie będę potrzebował świadków stawiać przed wami, abyście uwierzyli w prawdę tego, co zamierzam wam powiedzieć. Pamięta cie niewątpliwie (gdyż wspomnienie to nie mogło zatrzeć się w waszej pamięci) z jaką miłością, z jakim serdecznym wzruszeniem, rok temu, miesiąc, pięć dni i dziewięć godzin, przyjąłem do mego domu waszą córkę ukochaną, którą daliście mi wówczas za żonę.

Wiecie również, jak hojnie ją uposażyłem, skoro wiano, którem ją obdarowałem, wystarczyłoby trzem takim jak ona, iżby z najbogatszymi, szukając męża; mogły iść w parze; nie zapomnieliście też ile starania w to włożyłem, aby jej szaty sprawić co wspanialsze i klejnoty i wszystko, czego ona zapragnąć mogła, wszystko, o czem wiedziałem, że było dla niej piękne,

jako przyrodzonym mi wiedziony instynktem, pełen lęku, pod wpływem zarówno tej strasznej choroby, która mię teraz zapewne o śmierć przyprawi, jak i licznych doświadczeń, które w ciągu mego długiego życia, w przeróżnych a dziwnych przygodach, wędrując po świecie, zebrałem — chciałem strzedz jak oka w głowie tego klejnotu, który wśród innych wybrałem, a który wy powierzyliście mojej pieczy; nadbudować tedy kazałem mury tego domu, wzmocniłem zamki, uczyniłem galerję krytą, niby w klasztorze zakonnic, zabroniłem dostępu wszelkiemu żywemu stworzeniu, któreby męskie imię nosiło.

Dałem waszej córce pokojówki i niewolnice, aby jej służyły i ani jej, ani jej służebnicom nie odmówiłem niczego, o cokolwiek mię prosiły. Uczyniłem ją równą sobie, dzieliłem się z nią najskrytszymi moimi myślami, oddałem jej na własność całe moje mienie. Wszystko to czyniłem poto jedynie, abym mógł żyć bez troski, używając w spokoju rozkoszy, które tak drogo mię kosztowały; mniemałem, że Leonora starać się będzie o to, aby żaden cień zazdrości nie zmącił pogody moich myśli. Lecz żadne ludzkie starania nie zdołają odwrócić od nas kar, jakie niebiosa zsyłają na tych, którzy nie powierzyli całkowicie Opatrzności troski o swe pragnienia i nadzieje; nie dziw przeto, że i ja zostałem w nadziejach moich zawiedziony i sam zgotowałem sobie truciznę, która oto niebawem położy kres mojemu życiu. Ale widzę z jaką uwagą wsłuchujecie się w słowa ust moich; chcę więc zakończyć tę długą przemowę i w dwóch zdaniach powiedzieć wam to, czego nie możnaby w tysiącu słów opisać, mówię tedy, mości państwo, iż wszystko co rzekłem i uczyniłem, zmierzano ku temu, że dziś zastałem tę niewiastę (tu wskazał na swą żonę), zrodzoną snadź na moją zgubę i zatracenie, w objęciach pewnego dziarskiego młodzieńca, który teraz zamknięty jest w pokoju tej oto, zapowietrzonej ochmi-strzyni.

Gdy Carrizales tych słów domawiał, zamroczyło się serce Leonory i na kolana swego męża osunęła się zemdlona. Zbladła Marialonso, a rodziców Leonory tak coś za gardła ścisnęło, że słowa nie mogli wymówić. (dok. nast.)

